Decyzja rządu o likwidacji ulgi na dzieci dla lepiej zarabiających rodziców jedynaków jest po trzykroć szkodliwa. Po pierwsze to kolejny dowód na wyłącznie fiskalne a nie inwestycyjne myślenie o gospodarce i społeczeństwie, po drugie oznacza kolejny wzrost podatków, po trzecie wreszcie jest symbolicznym aktem „niechęci" obecnego gabinetu wobec rodzin.

Rząd zdecydował – na legislacyjnej ścieżce jest już odpowiedni projekt ustawy – że rodziny wychowujące jedno dziecko, których łączny dochód przekracza 85,5 tys. zł . W zamian w górę o 50 proc. pójść ma ulga na trzecie i kolejne dziecko. Rząd przekonuje, że jest to rozwiązanie sprawiedliwe i racjonalne, bo premiuje rodziny posiadające liczniejsze potomstwo, a pomoc nie trafia do tych, którzy jej rzekomo nie potrzebują. Podczas listopadowego expose premier Donald Tusk przekonywał: „Zamożni Polacy, którzy mają tylko jedno dziecko tej ulgi nie będą otrzymywali. Natomiast, kiedy zdecydują się na drugie i kolejne dzieci, otrzymają ulgę w pełnym wymiarze".

Premier zapewniał jednak równocześnie, że ten nowy sposób premiowania dzietności ma być neutralny z punktu widzenia rodzin. Innymi słowy zmiana nie miała być przeprowadzona kosztem osób wychowujących dzieci. „Zakładamy z tytułu podniesienia tego świadczenia na trzecie i kolejne dzieci o 50 proc. (...) będzie to neutralne z punktu widzenia budżetu tzn. zmieniając pewne zasady na korzyść mniej zamożnych, a na niekorzyść tych najzamożniejszych w polityce prorodzinnej nie chcemy zarabiać jako państwo. Chcemy utrzymać ten sam strumień pomocy, ale inaczej go dedykować".

Pozostaw to pole puste, jeśli jesteś człowiekiem:

Sęk w tym, że tak się nie stanie. Jak czytamy w uzasadnieniu do projektu ustawy „Proponowane zmiany w zakresie ulgi na dzieci, tj. ograniczenie ulgi dla podatników, których dochód po odliczeniu składek na ubezpieczenia społeczne przekracza określony limit oraz podwyższenie o 50 proc. kwoty ulgi na trzecie i każde następne dziecko, wpłynie na wzrost dochodów sektora finansów publicznych w kwocie 157 mln zł". Innymi słowy o tę właśnie kwotę zostanie pomniejszona pomoc rodzinom".

Co to oznacza? Rząd wbrew swoim deklaracjom oraz głoszonym przed

wyborami hasłom chęci prowadzenia polityki na rzecz dzietności znów będzie oszczędzać na rodzinach. To szkodliwa polityka.

Tak jak zaznaczono na wstępie jest to raczej myślenie księgowe niż strategiczne. W ubiegłym roku w Polsce urodziło się zaledwie 388 tys. dzieci, wskaźnik dzietności znów zmalał do 1,3, a w celu osiągniecia tzw. zastępowalności pokoleń (innymi słowy, aby nas nie ubywało) wskaźnik ten powinien wynosić 2,1. Co więcej **GUS poinformował, ogłaszając najnowsze wyniki spisu powszechnego, że poza granicami Polski ponad rok przebywa prawie 1,3 mln Polaków.** To głównie emigranci z ostatnich 8 lat, gdy wstąpiliśmy do Unii. Jak wskazują demografowie niewielkie są szanse, że wrócą do Polski. Nie dość zatem, że w naszym kraju nie rodzą się dzieci, to jeszcze tracimy też przeważnie młodych, przedsiębiorczych ludzi na rzecz innych krajów. Dane każą raczej bardzo poważnie zastanowić się nad skuteczną polityką rodzinną, zamiast odbierać wybranej grupie rodziców jedyne realne wsparcie pieniężne, jakie oferuje im państwo. **To księgowe myślenie zemści się w postaci nieodnawiania „zasobów" ludzkich.**

Ulga na dzieci jest ponadto zupełnie innym instrumentem pomocy niż świadczenia socjalne. Nie jest „łaską" państwa, ponieważ dochód jest wypracowany przez rodzinę, a państwo tylko zabiera jej mniej pieniędzy na bardziej lub mniej racjonalne cele. Co więcej, **ustalenie wysokości dochodu w wysokości 85 tys. na rodzinę oznacza, że z ulgi nie skorzystają rodziny nawet średnio zarabiające. Gdy podzielimy 85 tys. przez 2 (rodzice), a następnie przez 12 (miesiące w roku) okazuje się, że ulga nie będzie przysługiwać osobom, osiągającym miesięczny dochód na poziomie 3,5 tys. zł**. Wreszcie, nie jest powiedziane, że z całości podwyższonego odpisu skorzystają rodziny z trojgiem i większą liczba dzieci. Może im nie „wystarczyć" podatku na odliczenia.

Rząd, gdy nie prowadzi właściwie żadnych działań prorodzinnych, powinien raczej rozbudowywać podatkowy system zachęt (np. rozszerzenie możliwości odliczania ulgi dla osób samozatrudnionych rozliczających się podatkiem liniowym, możliwość odliczania ulgi nie tylko w jednym roku, ale przez kolejne lata, gdy „nie wystarczy" do odliczenia podatku, podnoszenie ulg na kolejne dzieci w rodzinie bez likwidacji ulg dla jedynaków), a nie kolejny raz oszczędzać na rodzicach.

Likwidacja ulgi jest także kolejnym dowodem na rosnący fiskalizm państwa. Tylko w latach 2011-2013 rząd wprowadza liczne zmiany podnoszące obciążenia obywateli. Są to m.in. podniesienie VAT, składki rentowej do ZUS, likwidacja tzw. lokat antybelkowych, ulgi internetowej, 50-proc. kosztów uzyskania

przychodu dla artystów i twórców, ulgi dla jedynaków, zamrożenie progów podatkowych. Wszystko to oznacza **wzrost fiskalizmu państwa liczonego na ponad 20 mld zł w skali roku**. **W efekcie wydatki państwa w udziale PKB zbliżają się do 45 proc. W 2011 roku było to 43,6 proc**. Oznacza to, że niemal połowa naszego bogactwa przechodzi przez ręce urzędników, mimo że ekonomia podpowiada, iż pieniądze najlepiej i najefektywniej wydają obywatele oraz firmy. Taka polityka dociskania fiskalnej śruby nie służy też rodzinom. Bezpieczeństwo socjalne to jedna z głównych zmiennych, jakie decydują o posiadaniu potomstwa. Trudno o nie, gdy rosną podatki, a wyższa składka rentowa powoduje pogorszenie sytuacji na rynku pracy. Firmy zamiast inwestować muszą dodatkowo blisko 10 mld zł rocznie odprowadzić do ZUS. W efekcie mają mniej możliwości tworzenia miejsc pracy (bezrobocie utrzymuje się na poziomie ponad 12 proc., nie ma większych szans na jego spadek) i podnoszenia wynagrodzeń (rok 2012 może być pierwszym od 20 lat, gdy pensje nie dogonią wzrostu cen).

W sferze publicznej liczą się także gesty. Jeśli rząd nie poszukując oszczędności, jednocześnie tnie ulgę na dzieci, jest to wyraźny sygnał dla rodzin o jego niechęci względem nich. Taka polityka jest przez rząd Donalda Tuska uprawiana konsekwentnie. Markuje on zmiany prorodzinne nie dając na nie pieniędzy (np. ustawa żłobkowa, o pieczy zastępczej), a w rzeczywistości rodziny są pozostawione bez wsparcia. Wystarczy przypomnieć jesienną ofensywę podwyżek w przedszkolach. W tej sytuacji rodzice, zachowując trzeźwy osąd rzeczywistości i racjonalnie analizując docierające do nich sygnały, nie decydują się na potomstwo. Wiedzą, że polityka rodzinna wciąż pozostaje w sferze deklaracji, a nie działań. Ciekawe i symptomatyczne jest to, że **w rządzie – mimo, że premier przed ostatnimi wyborami deklarował zainteresowanie problemami demograficznymi, podobnie podczas ostatniej debaty o wydłużeniu wieku emerytalnego – nie trwają obecnie żadne prace nad realnym, całościowym, skończonym intelektualnie i policzonym z ministerstwem finansów programem na rzecz rodzin**. Osobą, która ma się zająć polityką rodzinną jest wiceminister pracy Jacek Męcina, nominowany niedawno na sekretarze stanu w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej. Jest on jednak wybitnym specjalistą od prawa pracy, w dodatku bez zaplecza politycznego – stąd wniosek, że sprawa polityki rodzinnej nie leży na sercu rządzącym.

Rządowe miotanie się od ściany do ściany, niechęć wobec rodzin i nabierające rozpędu demograficzne tsunami powodują, że trudno oczekiwać jakiejś istotnej poprawy na tym polu. Będzie to jednak miało dramatyczne skutki. Bez większej

ilości dzieci, jesteśmy skazani na marazm, a wmawiana nam skuteczna pogoń za zachodem nie skończy się sukcesem, lecz dreptaniem w miejscu albo, co gorsza, relatywnym ubożeniem.

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl, autor: Bartosz Marczuk.